

## KARNAWAŁ WOŁOWINA I LODOWCE - CZ II

*(tekst artykułu opublikowanego w Alma Mater nr 4 2006, w wersji bez zdjęć, złożonej do redakcji)*

### Część druga

Zdobycie najwyższego szczytu Ameryk nie było jedynym celem naszej argentyńskiej wyprawy w lutym 2006 roku. Od samego początku zakładaliśmy, że równie ważna będzie krajoznawczo-turystyczna część tej eskapady, dająca możliwość obejrzenia na własne oczy ładnego kawałka Południowej Ameryki. Takie dodatkowe atrakcje są zwykle nieodłącznym elementem wszystkich naszych wypraw górskich czy rowerowych i kto wie, czy nie stanowią o ich atrakcyjności.

Lecąc transatlantyckim Boeingiem 777 po raz pierwszy mogliśmy spojrzeć na kontynent amerykański wczesnym rankiem nad Brazylią, ale obiecujący wschód słońca szybko przesłoniły chmury. Dopiero sama Argentyna powitała nas widokiem równiny Buenos Aires, lecz nie samego centrum, ale ciągnących się po horyzont podmiejskich osiedli w okolicy stołecznego lotniska Ezeiza. Buenos Aires tłumaczy się na „dobre powietrze”. Dla nas, czujących niemal jeszcze polski styczniowy mróz oznaczało to przede wszystkim „gorące powietrze”. 32-stopniowy upał sprawił, że pierwszymi studiowanymi przez nas argentyńskimi artefaktami zakupionymi za pierwsze pesos były woda mineralna i oczywiście piwo. Nie mogę oprzeć się dygresji, że podczas naszej bądź co bądź górskiej wyprawy znacznie częściej musieliśmy zmagać się z upałami niż z lodowcowym chłodem.

Można by właściwie powiedzieć, że jeśli widziałeś Buenos Aires, widziałeś większość Argentyny, skoro 88% z jej 40 milionów ludności żyje w miastach, a w samym w Buenos 12 milionów! Nasze pierwsze wrażenia oprócz męczącego gorąca były następujące:

A) Między 11:00 i 17:00 wszyscy mieszkańcy Argentyny znikają w tajemniczy sposób a wszystkie sklepy są zamknięte. Jedynymi kretynami smażącymi się wtedy na ulicy są zagraniczni turyści.

B) W parkach zamiast wron i wróbli wydzierają się papugi i bzykają kolibry, są to najbardziej widoczni przedstawiciele tutejszej fauny.

C) Głównymi bohaterami narodowymi Argentyny są generał Jose de San Martin spoczywający w stołecznej katedrze oraz Evita Peron, przemawiająca z balkonu Casa Rosada.

D) Sygnalizacja świetlna jest dla samochodów, piesi robią co chcą i policja ma to gdzieś.

O tym, że nie jest to cała prawda o Argentynie przekonaliśmy się już wkrótce, kiedy po ledwie 7 godzinach pobytu w rozpalonej słońcem stolicy wsiedliśmy do autobusu na zachód.

Wobec całkowitej atrofii sieci kolejowej (podmiejskie pociągi osobowe widzieliśmy tylko w Buenos), wysokich kosztów połączeń lotniczych i całkowitej nieopłacalności wynajmu samochodów osobowych, obecnie podstawowy środek transportu pasażerskiego stanowią właśnie autobusy dalekobieżne. Dzięki wolnemu rynkowi dziesiątków prywatnych przewoźników turysta na olbrzymim dworcu autobusowym z setkami peronów jest może cokolwiek zagubiony, ale nie może powiedzieć, że się o niego nie starają. Wobec mizerii polskich autobusów wielki argentyński liniowiec szosowy z obowiązkową klimatyzacją, szerokimi fotelami z podnóżkiem i polarowym kocem do spania, telewizją, wygodną ubikacją i posiłkami oraz ubezpieczeniem bagażu wliczonymi w bilet jest jak transatlantyk wobec promu przez Wisłę w Solcu i to przy wiele niższej cenie. Takie olbrzymie autobusy robiły na nas wrażenie osobnego świata na kółkach, szczególnie wobec infrastruktury drogowo-dworcowej Argentyny. Prawdziwie surrealistyczny był czasem widok takich drogowych gigantów na lokalnych gruntowych drogach lub na ulicach prowincjonalnych miasteczek. W osłupieniu obserwowaliśmy jak nasz autobus przejeżdżając przez takie miejsca łamie gałęzie drzew i zrywa kable elektryczne, co zresztą nie robiło wrażenia ani na kierowcy ani na miejscowych mieszkańcach.

Z okien takiego właśnie linera, który jak jeszcze nie raz w czasie naszej wyprawy był czymś w rodzaju hotelu na jedną noc mogliśmy obejrzeć krajobrazy środkowej Argentyny zanim zapadł zmrok. Przez te 1000 kilometrów drogi w poprzek kontynentu nie było jednak zbyt wiele do obejrzenia ponieważ trasa prowadzi przez rozległą i równą jak stół nizinę dawnej Pampy, która została teraz zamieniona w wielkie pastwisko. Elementami krajobrazu są tutaj głównie krowy i konie a z rzadka w kępach drzew kryją się białe budynki hacjend – tu właśnie żyje pozostałe 12% Argentyńczyków.

Wczesny ranek wita nas na dworcu autobusowym w Mendozie. Jeszcze ciemno, a już zaczyna się robić ciepło. Zwaliwszy bagaże pod budynkiem pod opieką Kamili i Rafała ruszamy w miasto w poszukiwaniu noclegu z „pascalem” w rękę. Nie jest łatwo, właściciele jeszcze śpią, więc albo nikt nie otwiera, albo portier tłumaczy na migi, że nie ma miejsc (od razu widać, że w języku angielskim nie będzie tu łatwo się dogadać). Dopiero w samym centrum, kilka kilometrów od dworca znajdujemy całkiem przyzwoity hotelik na naszą kieszeń, o nieco mylącej nazwie Imperial. Zadowoleni wracamy do kolegów, ale ich widok szybko gasi naszą radość. Okazało się, że pod ich niewagę ponieśliśmy pierwszą i na szczęście ostatnią stratę w czasie wyprawy – ktoś ukradł jeden z małych plecaków. Szybka konstatacja i oddech ulgi, zginęły kosmetyki Kamili, legitymacja i reklamowy dyktafon. Jak możemy, pocieszamy Kamilę po stracie (kosmetyków oczywiście) i staramy się ukryć zadowolenie, że to tylko tyle.

100-tysięczna Mendoza jest (w odpowiednich proporcjach) tym dla Andów Argentyńskich czym Zakopane dla Tatr, choć może widoczne z miasta forpoczty gór nie robią dużego wrażenia. Mieszkańcy Lublina skojarzą natychmiast jeżdżące tu trolejbusy, ale wszyscy zapamiętują ilość miejskiej zieleni. Olbrzymi park, oczywiście imienia generała San Martina mieszczący tereny rekreacyjne, stadion, stawy, kluby sportowe, ZOO, miejsce pamięci narodowej etc. zajmuje niemal połowę miasta! Oprócz

mniejszych i większych skwerów szpalery platanów gęsto porastają także wszystkie śródmiejskie ulice (ułożone tu jak w większości argentyńskich miast w regularną prostokątną siatkę).

Mamy pomysł, aby zobaczyć miejski park dokładniej i ruszamy pieszo przez upalne miasto. Po dotarciu na miejsce szybko przysiadamy w parkowej piwiarni, żeby uzupełnić zapas płynów. Krótka rozmowa z młodym barmanem wyjaśnia nam do czego służą stojące opodal stolików rowery – za małą opłatą można je sobie wynająć, a barman natychmiast zmieni się w przewodnika. Jako zapaleni rowerzyści korzystamy skwapliwie i tak nasza górską wyprawę zaczyna się od kondycyjnego treningu rowerowego. Zanim zmęczeni i rozpaczliwie spragnieni dotarliśmy na skalisty szczyt góry Cerro de la Gloria, by podziwiać widoki miasta i andyjskiego przedgórze, nasz przewodnik przegonił nas nieźle po parku z dumą pokazując różne atrakcje a nawet usiłując nawiązać anglojęzyczny dialog. Ze wszystkich atrakcji najbardziej pamiętam jednak nie stadion piłkarski, na którym rozgrywano mecz mistrzostw świata 1978, fontanny i monumentalne bramy wjazdowe ani cokolwiek małą sekwoję „olbrzymią”, ale spotkanie z konnymi policjantkami. Dwie panie o wyraźnie indiańskich rysach upał zmusił do odpoczynku wraz z końmi w zaroślach, stąd stanęliśmy cokolwiek zaskoczeni na widok leżącej opodal broni automatycznej i kamizelek kuloodpornych. Aż prosiło się o zdjęcia mimo pewnych obaw o reakcję przedstawicielek władzy. Na szczęście żart dotyczący miłości Rafała do pięknych i wielkich koni został przyjęty dobrze (to znaczy ze śmiechem) i panie nawet specjalnie dla nas włożyły kamizelki.

Szczyt Cerro de la Gloria wieńczy olbrzymi pomnik, na którym grupa żołnierzy prowadzona przez generała San Martina niesie wolność Argentynie pod skrzydłami kondora. Niestety unoszący się nad wzgórzem ptak okazuje się być jedynie „agila” czyli orłem, bo jak mówi nasz sympatyczny przewodnik „kondory to są w górach”. Dosiadamy zatem naszych rumaków i teraz z ulgą pędzimy w dół.

Po zwykłym już dla nas upale dnia miło przysiąść nocą na dachu wśród gałęzi platanów, pokrzepić się całkiem niezłym pleśniowym serem, sączyć przednie wino. Mendoza to prawdziwe winne centrum Argentyny – co roku w marcu (jak w Europie we wrześniu) odbywają się tutaj festiwale wina. Stąd pochodzi większość argentyńskich win znanych i cenionych na całym świecie – w naszej opinii całkiem zasłużenie.

Po dwóch tygodniach akcji górskiej znowu trafiliśmy do Mendozy brudni, wychudzeni i zarośnięci. Zapewne z tego powodu portier hotelowy, któremu zostawiliśmy na przechowanie niepotrzebne w górach bagaże, początkowo nie mógł nas poznać. „No byli tu jacyś Polacy, ale nie wiem czy to wy?” Nie dziwię się mu, bo nawet hotelowa pralnia nie była w stanie doprać andyjskiego kurzu z moich skarpet. Nieporozumienie szybko się wyjaśniło i mogliśmy przystąpić do regeneracji ciała i ducha, obie te potrzeby skutecznie załatwił czarodziejski „tenedor libre”.

Jest to instytucja ku naszej rozpaczy w Polsce nieznaną a bardzo pożyteczną. Otóż pewne restauracje codziennie wieczorem wystawiają obficie zaopatrzone wolne bufety, z których można do woli korzystać za równowartość powiedzmy 10 zł (za wyjątkiem napojów płatnych osobno). Ilość

jedzenia, jaką można pochłonąć za tę skromną sumę, szczególnie jeśli wypije się do posiłku słuszną liczbę butelek dobrego wina, nas samych wprawiała w pewne zażenowanie. Jak przystało na kraj emigrantów, argentyńska kuchnia odznacza się wspaniałą różnorodnością. Oczywiście kwintesencją tutejszego menu są różne formy wołowiny i drobiu – zwykle z rusztu (parilla czyli po naszymu grill) ze wspaniałą polędwicą wołową czyli „lomo” na czele, ale kuszą też zestawy sałatek z owoców morza, pieczone pataty, szeroki wybór włoskich makaronów itd. zależnie od fantazji kucharzy. Jeśli jeszcze do jedzenia przygrywa miejscowa orkiestra, jedynym na co można się poskarżyć kelnerowi jest nieco zbyt wysoka temperatura wina (przez temperaturę pokojową chyba rozumie się tu 32° C).

W restauracjach i barach nie uświadczy też innej rzeczy, która jest niemalże automatycznie wiązana z Argentyną – Yerba Mate. Bowiem picie Mate czyli ziela ostrokrzewu paragwajskiego jest zbyt intymną czynnością, aby powierzyć ją zbiorowemu żywieniu. Mate pija się we własnym kubku i własną rurką samemu, przy każdej okazji. Pijają mate strażnicy parkowi w bazie pod Aconcagua, kierowcy autobusów na przystankach, sprzedawczynie w sklepie z lodami. Ale pija się mate także z kimś innym i wtedy jest czymś w rodzaju fajki pokoju, od takiego poczęstunku nie można się wymówić. Jedyna okazja picia mate nadarzyła się nam w schronisku w Puente del Inca, gdzie wstyd powiedzieć – wprosililiśmy się do spróbowania. Nie jestem zwolennikiem twierdzenia, że mate smakuje jak tytoń zmieszany z tynkiem, ale nie wzbudziła ona wśród uczestników wyprawy wielkiego entuzjazmu.

Teraz jedziemy na północ, co oznacza następne dwie noce spędzone w autobusie. Pojedziemy znowu po śladach alpinisty Wiktora Ostrowskiego, który po zdobyciu Aconcagua i Mercedario osiadł na stałe w Argentynie. Tym razem zamiast wędrować „wyżej niż kondory” spróbujemy zobaczyć miejsca uwiecznione w innym jego klasycznym dziele literatury podróżniczo-przygodowej „Życie Wielkiej Rzeki”. Po drodze wstępujemy do Tucuman, które jest dla Argentyńczyków bardzo ważne z przyczyn patriotycznych. W odrestaurowanej, białej hacjendzie znajduje się tam muzeum pierwszego parlamentu niepodległej Argentyny, który zgromadził garstkę właścicieli ziemskich i prawników niechętnych panowaniu hiszpańskiej metropolii. Kiedy Polacy rozpamiętywali klęski Napoleona, Argentyńczycy dumni z odparcia próby angielskiej inwazji postanowili rządzić się sami i pokonali nawet w pobliżu Tucuman niewielkie siły hiszpańskie. Ale droga do niezależności, która uczyniła z Argentyny pod koniec XIX wieku jedno z najbogatszych państw świata, była jak to zwykle odległa. Nie wystarczyła junta rządząca z pierwszym prezydentem Saavedrą w stołecznym Buenos, (którą upamiętnia warte zobaczenia muzeum), ale konieczne były jeszcze liczne walki z Hiszpanami i kilka wojen domowych. Należne miejsce na tej drodze ma Jose Francisco de San Martin y Matorras, który w czasie naszej podróży co raz przypominał o swojej wielkości a to placem, to parkiem, to znowu ulicą a nawet wyspą swego imienia (w tej roli jest tu równie popularny co Piłsudski w Polsce). Przestałem się temu dziwić, gdy dowiedziałem się, że w swoim życiu człowiek ten był równocześnie generalissimusem Peru, marszałkiem polnym Chile i generałem brygady Konfederacji Argentyńskiej,

że tworzył armie tych krajów i po długiej wojnie doprowadził do ich wyzwolenia, aby w 1822 roku... wycofać się z życia publicznego i wyjechać do Europy – przyznacie, osobowość warta upamiętnienia.

San Martin urodził się w prowincji Misiones, która wciną się klinem między terytoria Brazylii i Paragwaju i którą Argentyna wywalczyła w jednej z wojen granicznych, jakich masa przetoczyła się przez kontynent. Właśnie tam mierzymy, a ośnieżone 6-tysięczniki andyjskie znowu przybliżają się do szosy widoczne wysoko nad chmurami i wciąż nie dają nam zapomnieć o świeżych jeszcze górskich perypetiach. Zamierzamy zobaczyć wpisane na listę UNESCO ruiny misji jezuickich, które najlepiej zachowały się właśnie tutaj. Wsiadamy na placu sennego miasteczka San Ignacio Mini i zrazu nie możemy odnaleźć tego cennego zabytku. Dopiero po dłuższym poszukiwaniu znajdujemy kasę, kupujemy bilety i wkraczamy na teren ruin ignorując mówiącego tylko po hiszpańsku przewodnika. Pierwszym widokiem po obejrzeniu muzeum jest ruina fasady kościoła z czerwonego piaskowca, którą oczywiście umieścił w swej książce także Ostrowski. Właśnie stąd rozpoczął on swój kajakowy spływ przez Parane, żegnany przez liczną tutaj Polonię na czele ze słynnym tutaj don Juanem Szychowskim.

Każdy z nas widział wydarte dżungli szczątki „Republiki Guaranów” na swój sposób, zależnie od własnych wspomnień i światopoglądu. Dla Kamili były one po prostu świadectwem przymusowego nawracania Indian i w ogóle nie chciała ich zwiedzać. Dla Rafała to zapewne pamiątka po wcieleniu w życie chrześcijańskiego przesłania miłości bliźniego. Dla mnie to przede wszystkim jeszcze jedna ruina po próbie wcielania w życie utopii. Na pewno ci nieliczni Jezuici, którzy w XVI wieku postanowili ewangelizować Indian Guarani kierowali się wielką i żarliwą wiarą, jeśli potrafili przyciągnąć do życia w misyjnych wspólnotach nawet 40 tysięcy Indian w okresie ich rozkwitu. Jest to zdumiewające tym bardziej, że nie dysponowali żadnymi środkami oprócz własnego słowa i przykładu. Kiedy ogląda się zachowane portyki konwentu mnichów i patrzy z niego na ruiny kamiennych domostw dla indiańskich rodzin, ustawionych równo i karnie niczym w koszarach wokół wielkiego placu nie można nie pomyśleć, że właśnie to jezuici ożywiali i utrzymywali istnienie tego miejsca. Bo wcale nie było tak, że obca przemoc portugalskiego wojska zniszczyła idylliczne wsie bronione z poświęceniem życia przez Roberta de Niro w roli Jezuitę-Rambo. Okazało się, że utopia nie przetrwała szkoły świata, że zarazy i odejście twórców po kasacie zakonu w 1773 roku spowodowały stopniowe karlenie misji i ucieczkę Indian do dżungli, kiedy misje nie były już w stanie obronić się nawet przed zwykłym bandytyzmem. Doświadczenie społeczeństw guarańskich nieodparcie kojarzy się z inną utopią organizacji władzy – przecież to Jezuici dumnie piszą, że misje nad Paraną pierwsze na świecie urzeczywistniły ideał „od każdego według jego możliwości, każdemu według jego potrzeb” (sic?!).

Po takim rendez-vous z historią czas jechać dalej, tym razem na spotkanie z naturą. Niepostrzeżenie mijana roślinność zmienia się, pojawiają się lasy araukariowe, by potem ustąpić gęstym i coraz wyższym zaroślom – to selva, czyli podzwrotnikowa amerykańska dżungla. Czerwony kolor ziemi i szosy nieomylnie zwiastuje, że jesteśmy już w tropikach. Wsiadamy w miasteczku Puerto Iguazu, które leży przy ujściu do Parany rzeki Iguazu, na styku granic Brazylii, Paragwaju i Argentyny.

Po zadomowieniu się w tanim hotelu, który jak przystało na tropiki zamieszkuje z nami mrówki i miniaturowe jaszczurki, natychmiast zwiedzamy okolicę nie żałując nóg, podziwiamy Paranę (nie robi tutaj wrażenia „Wielkiej Rzeki” – jest lato i stan wody niski) i brzegi Brazylii i Paragwaju, oglądamy wyludniony port rzeczny z ruchomymi pomostami na stromej skarpie (które można przemieszczać wraz z przyborem wód) penetrujemy sklepy w poszukiwaniu pamiątek. Naszym celem nie jest konwersacja ze sprzedawcą na temat trunków jakie pija się w Polsce, wypełniamy czas przed spotkaniem z hitem naszej wyprawy jakim będą Cataratas czyli wodospady rzeki Iguasu.

Następnego dnia autobus zabiera nas 50 km w głąb selwy, gdzie rzeka Iguasu (w języku Indian Guarani Wielka Woda) spada z twardego, bazaltowego cokołu Wyżyny Brazylijskiej, wydarłszy sobie wąwóz ku Paranie. Decydujemy, że należy najpierw zobaczyć największy z wodospadów, więc po wejściu przez budynek recepcyjny Parku Narodowego natychmiast wsiadamy do kolejki, która wiezie nas w górę wzdłuż rzeki. Już pierwsze widoki są niesamowite, tak właśnie wyobrażałem sobie dżunglę. Na odległych drzewach przesiadują sępy, na kamieniach nadrzecznych suszą skrzydła węzówki (krewniaczki kormoranów), powietrze przecinają swymi wielkimi pomarańczowymi dziobami tukany, szczególnie blisko ludzi podlatują szmaragdowo upierzone ptaki wielkości kawek o nazwie uraca, a przez ścieżkę łążą wielkie na pół palca mrówy. Do tego jeszcze tablice ostrzegające przed węzami oraz karmieniem pozornie sympatycznych oposów nazywanych tutaj koati, które „potrafią ugryźć i gryźć” jak mówi ogłoszenie.

Po kolejnych stalowych mostkach między bazaltowymi, porośniętymi selwą wysepkami razem z tłumem różnojęzycznych turystów pokonujemy rozlewiska rzeki, by dość znieczeka stanąć na progu „Gardzieli Diabła”. Wrażenie jest nie do opisanego, lecz do zobaczenia, mimo woli wstrzymujemy oddechy ogłuszeni łomotem wodospadu. Rzeka wali tutaj do szerokiego i głębokiego na setki metrów kotła, którego dno ginie w wodnej kipieli, aby wśród mgieł wodnego pyłu wypłynąć dalej głębokim wąwozem. Na jego bocznych ścianach dziesiątki mniejszych wodospadzików usiłuje dołożyć coś od siebie do tego chaosu – patrzymy po sobie pod wrażeniem. Potem żałowałem, że zaczęliśmy zwiedzanie od tego miejsca bo każdy następny wodospad blakł i nużył wobec ogromu tego pierwszego. Na tym jednak atrakcje Iguasu się nie skończyły. Tego samego dnia zaliczyliśmy jeszcze pogoń za nie chcącą pozować do zdjęcia wielką iguaną, oglądanie wodospadu od dołu (kapelusze się trochę defasonują), parzenie stóp na kamieniach plaży oraz kąpiel „z piraniami” czyli małymi agresywnymi rybkami, które wprawdzie krzywdy nie robią, ale mogą niezłe zdenerwować. Wieczorem czekało nas jeszcze jedno miłe zaskoczenie – byliśmy świadkami jednej z nocy karnawału w stylu brazylijskim, z tłumami widzów, popisami tancerzy samby i wyborem królowej karnawału. Oczywiście zostaliśmy także wielokrotnie ostrzelani przez konfetti w sprayu, które całymi opakowaniami zużywa się tu przy takich okazjach - zorientowaliśmy się, że chyba pełni ono tu podobną rolę co u nas oblewanie w „lany poniedziałek”.

Po powrocie do Buenos Aires nie opuszczała nas atmosfera fiesty. Trafiliśmy nie tylko na koniec karnawału, którego ostatnią barwną paradę szkolnej młodzieży i studentów oglądaliśmy jeszcze przed odjazdem. W czasie naszego pobytu odbywał się w stolicy festiwal tanga, mogliśmy więc zobaczyć, że naprawdę tango tańczą tutaj wszyscy. Z zazdrością i podziwem obserwowaliśmy jak zwykli mieszkańcy wykorzystywali koncerty festiwalowych orkiestr, aby na specjalnie przygotowanych parkietach w halach targowych lub nawet w parkach tańczyć niezależnie od wieku. Szczęśliwie udało się nam uniknąć blamażu, bo z tańczeniem tanga raczej mieliśmy problemy, ponadto w przypadku ulicznych czy restauracyjnych zawodowych tancerzy może się to wiązać nie tylko ze szkodą na miłości własnej, ale też konkretnym ubytkiem gotówki. Tymczasem przechodząc od jednego „tenedor libre” do drugiego zarejestrowaliśmy jeszcze jeden zdawałoby się pochód, który ku naszemu zdziwieniu okazał się... demonstracją socjalistyczną. Na transparentach dawno niewidziane a znajome twarze Marksa, Lenina i (tutejsza specyfika) Trockiego oraz nieco już u nas zwietrzałe hasła przypomniały nam o lewicowych ciągotach Ameryki Łacińskiej. O nieświadomi, którzy nigdy nie doświadczyli realnego socjalizmu!

Aby odpocząć od gwaru stolicy wsiedliśmy na prom, który przewiózł nas przez szerokie na 50 km ujście Parany, które nazywają tu rzeką La Plata, do małego miasteczka Colonia na przeciwległym brzegu Urugwajskim. Informacji na temat kursowania statków i cenach biletów udzielała nam miła pani około pięćdziesiątki w mikroskopijnym biurze informacji turystycznej w starym porcie. Kiedy dowiedziała się, że jesteśmy Polakami natychmiast pochwaliła się, że jej matka przyjechała z Polski. Na pytanie skąd odpowiedziała, że z miejscowości „Sjemjatycz”. Podbudowani spotkaniem z miejscową rodaczką i kilkoma innymi rodakami na dworcu promowym przypomnieliśmy sobie o kraju. Podobnie z nadwiślańskim Kazimierzem skojarzył mi się widok wąskich uliczek Colonii, choć nie widać z nich palm i morza a na horyzoncie nie rysują się wieżowce Buenos Aires. Co do Urugwaju to dowiedzieliśmy się, że tutejsze pesos są 10 razy tańsze niż argentyńskie, oraz że tutejszy język różni się od argentyńskiego w sposób tragiczny – wszelkie już wyuczone argentyńskie zwroty i słowa zdały się psu na budę. Ponadto tutejszy specjał cukierniczy o nazwie chaja (czytać czacha!) nie jest rodzajem lodów, jak twierdzi przewodnik Pascala, ale zwykłym tortem bezowym. Natomiast tutejsze samochody to prawdziwe muzeum motoryzacji na ulicach, z ukochanym chyba przez Urugwajczyków Citroenem 2CV na czele.

Tak wreszcie dobiegła końca nasza podróż. Słuchając szumu oceanu na atlantyckiej plaży w San Clemente nieopodal słynnego kurortu Mar del Plata, zażywaliśmy morskiej kąpieli i pili ostatnie wino przy księżycu. Pożegnaliśmy dzielnicę La Boca, w której stał nasz hotelik i taksówką pojechali na lotnisko.

Tyle rzeczy trzeba jeszcze opisać a miejsca pozostaje tak mało. Może nocną wizytę gendarmeria w autobusie i psa, który uporczywie szukał u mnie narkotyków, a może barmankę w Vacas, która

ratowała nas od śmierci głodowej w obskurnej budzie El Andinista. Tyle wspomnień, ile tylko może się nzbierać na miesięcznej wyprawie w egzotyczne kraje.

Po drodze na lotnisko taksówkarz, jak to wszędzie na świecie, usiłował nawiązać z nami rozmowę, co wobec naszej znajomości hiszpańskiego w jego dziwacznej argentyńskiej odmianie znanej jako castellano niespecjalnie się kleiło.

- Czy było fajnie?

- Czy jedzenie było świetne?

- A czy kobiety były namiętne?

Pytał kierowca.

Czy to ostatecznie, nie wiem, ale gdyby nam ktoś zaproponował powrót, pewnie każdy z nas przyjechałby tu znowu bez wahania i to nie tylko w góry.

*Piotr Paprzycki*